

## Anna Sulikowska

Sygnatura notacji: **N0480**

Data urodzenia: **24.08.1935 r.**

Data nagrania: **21.06.2023 r.**

Miejsce nagrania: **dom Świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **65 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Anna Sulikowska:** Anna Sulikowska, urodzona w Warszawie jako czwarte dziecko rodziców, których będę chciała przedstawić. Ale najpierw muszę zacząć od wzmianki w tygodniku „Idziemy”. Cytuję: „750 lat parafii. W tym roku w maju..”, „W tym roku mija...” Przepraszam. „W tym roku mija 750 lat od powstania parafii najpierw świętego Andrzeja Apostoła, a dziś Józefa, Oblubieńca Najświętszej Maryi Panny, w Jeżowie, w archidiecezji łódzkiej”. Dlaczego to czytam? Ponieważ tam spędziłam moje dzieciństwo w majątku moich rodziców w Popniu. Chciałam o tym powiedzieć, że moi przodkowie, o których za chwilę będę mówić, uczestniczyli w budowie, ale nie tylko, sponsorowali częściowo oczywiście, bo dołożyli się do uświetnienia tej parafii. Chciałabym przedstawić moich rodziców. Adam Sulikowski, Gabriela z Kuleszyńskich Sulikowska. Moi przodkowie z dawnych, dawnych lat, czasów, wywodzą się z Wolskich. Wolscy. Wolska, panna Wolska wyszła za generała Krukowieckiego Jana, Powstanie Styczniowe. Synem był Aleksander Krukowiecki powstanie. Powstanie Listopadowe. A tu Powstanie Styczniowe. Bo portrety mam w swoim mieszkaniu. Rodzeństwo, dziś już nie żyjące, nie żyjący wszyscy. Ale zacznę od siostry. Siostra była najstarszą córką, Aleksandra Sulikowska, sanitariuszka w Powstaniu Warszawskim na Starym Mieście. Przeżyła. Zmarła w Poznaniu. Brat Jerzy Sulikowski był prawnikiem. Siostra była..., skończyła ogrodnictwo. Brat był prawnikiem. I drugi brat Tomasz, Jerzy, a drugi brat Tomasz, obydwaj byli w nie w AK, tylko co było, co było drugiego? I siły zbrojne narodowe, Narodowe Siły Zbrojne. Narodowych Siłach Zbrojnych. Ale mieszkaliśmy wszyscy razem w Popniu, i ja byłam jako czwarte dziecko, jak urodziłam się 24 sierpnia 1935. Także jak wybuchła wojna, miałam lat cztery mniej więcej. Co pamiętam z tamtego okresu? Jesteśmy na werandzie, na balkonie, w majątku, jest wrzesień i lecą samoloty, lecą samoloty. No dla mnie to nie było nic groźnego, ale dla mojej rodziny, która wybiegła też na balkon, na werandę, że coś się dzieje. Nie zdawałam sobie z tego jeszcze sprawy, póki nie zaczęliśmy wyjeżdżać z Popnia, bo wszyscy

podobno uciekali, przejeżdżali, więc my też jechaliśmy do Wilkowic. Wilkowice są niedaleko. Popień to jest Rogów, Koluszki, te okolice, i tam były też Wilkowice Wilskich, rodziny Wilskich. Tam się zatrzymaliśmy. Pamiętam. Siedzieliśmy w ogrodzie, były huki armat. Nie wiedziałam jeszcze, że istnieją armaty, że może coś takiego być. Pamiętam, że miałam białe rajtuzy, bo wtedy to nie były rajstopy, tylko rajtuzy. Siedzieliśmy, już było ciemno, nie wiem, czy toczyły się jakieś rozmowy, tego nie pamiętam. W każdym razie jedno pamiętam, że zaproponowałam, że może się pomodlimy. No, potem dzieciństwo miałam raczej, raczej dobre. Nie głodowałam. Mieliśmy krowy, konie, świnki, kurki, indyczki. Wszystko było w majątku. Duży majątek, miał około tysiąca kilometrów [hektarów], więc były uprawy zbóż i była krochmalnia. To była fabryka, ludność wiejska tam mogła pracować. No i pracowała w polu, tak że bezrobocia tam nie było. I co było dalej? Pod koniec wojny Niemcy zajęli połowę dworu. Dwór był duży, około 20 pokoi. Miałam opiekunkę i różne..., ostatnio była Wiesława Boladzka-Kaszubowa, historyk z Łodzi. Było w domu..., było dużo osób ukrywających się. Między innymi byli też profesorowie matematyki. Polonista był. Oni uczyli. Przygotowywali do matury moich braci i siostry. Siostra raczej przeniosła się później do Warszawy i tam w Chyliczkach, pamiętam, że była w Chyliczkach i tam chyba się uczyła. Dwa razy, trzy razy, trzy razy był tak zwany napad bandycki, ale jedni przedstawili się jako żołnierze polski, więc prawdopodobnie to byli nasi partyzanci. Dużo ich było. Pamiętam bale, bale i ktoś to kiedyś wytykał, że przecież wojna, a tutaj bale się odbywają. Bale to były spotkania, po prostu partyzanckie. I jak był jakiś niepokój, wiadomo było, że Niemcy jadą, było zawiadamiane. Wszyscy lecieli, biegli do lasu się schować. Las był około dwóch, chyba trzech kilometrów. Też należał do nas. Później tam były ćwiczenia partyzanckie. Dowiedziałam się później o tym, dopiero jako dziecko. Nie wiedziałam. Niemcy zajęli 3/4 domu i zaczęli budować lotnisko. Miałam opiekunki. Miałam koleżankę. Przybrane dziecko wysiedlonych państwa Wierzchleńskich z Karsznic, którzy mieli swoje dzieci chore, leżące, a jedna była Józia właśnie, z którą się bawiłam. Potem jedna z opiekunek, miała przyjechała z wnuczką. To był jeszcze Jędrzek Kurpiewski. A Józia, Józia nie nosiła nazwiska tych przybranych rodziców. Oni byli, Wierzchleńscy, nie pamiętam, jak się nazywała. Był duży ogród, ogrodem się zajmowała mama, to jest specjalny rozdział w moim życiu, bo z mamą mieszkaliśmy w pokoju, i z mamą się bawiłam. Potem przychodziły opiekunki. Mama zajmowała się gospodarstwem, zajmowała się ogrodem. Była w ogrodnictwie. Jakiś czas była asystentką w Instytucie Ogrodnictwa w Puławach. Nie w Puławach, tylko... No, w każdym razie jest książka na ten temat. Także potem można będzie uzupełnić. Także ogród był piękny, pola były dobrze uprawiane. Ojciec był bardzo dobrym gospodarzem. Spotykali się z najczęściej, najczęściej z rodziną, bo dookoła było tak... Był Popień, był macierzysty majątek, obok była Dąbrowa brata ojca Karola Sulikowskiego juniora. Później był Rogów, rogów był Wilskich... Niewiarowskich, uciekło mi nazwa, nazwa... W każdym razie to byli wszyscy, byli ziemianami. No i w 1945 roku wszyscy zostaliśmy wyrzuceni. A jeszcze w międzyczasie był taki incydent. To znaczy nie incydent, było przedtem, Powstanie Warszawskie, ale to mi się teraz przypomniało, że jak wkraczali Rosjanie, to ojciec znów bał się, bo pierwszy raz się bał przed Powstaniem Warszawskim. Wyjechaliśmy do Wilkucickich. Pieniek, Wilkucickie Pieńki były jakieś nie wiem ile, ale w każdym razie jechaliśmy dosyć długo i tam w jakiejś chatupce mieliśmy przeczekać przejście frontu. No bo wiadomo było, że na wschodzie to raczej ziemian rzeźali. Tam była babka, mama mojej matki, była moja matka i byłam ja. Byłyśmy tam chyba ze 2 tygodnie. Raz pamiętam, że byłam z mamą na wsi, a przeważnie to nie wychodziłam z domu, bo nigdy nie wiadomo było kiedy nadejdą jakieś pierwsze forpoczty ruskich, i tam do tych Wilkucickich Pieniek przywędrowała moja siostra i mój brat, po tygodniu chyba, czy jeszcze żyjemy, czy jeszcze frontu nie ma, w ogóle co się dzieje, bo przecież komórek jeszcze, przecież nie było. To był taki incydent. Natomiast przed Powstaniem Warszawskim ojciec stwierdził, że bezpieczniej będzie dla rodziny i przyjechali. Pojechaliśmy

do babki do Warszawy. [ulica] Okólnik. Babka mieszkała na Ordynackiej. Ordynacką zbombardowali w 1939 roku i w domu Wilskiego wydaliśmy na wynajem. Wynajęła babka mieszkanie Okólnik 5, mieszkania 16. To pamiętam. I tam przyjechaliśmy dwa czy trzy dni przed Powstaniem. Ja się straszliwie bałam ryku syren i samolotów. I właściwie dla mnie to zrobiono, że wieczorem chodziliśmy do pani Daszewskiej na Śliską, która mieszkała na parterze, a Okólnik 5 mieszkania 16 było na piątym piętrze. Do schronu daleko, a tam było bliżej, więc wykombinowali sobie. Tak że Powstanie wybuchło i zastało nas w drodze na Śliską, bo nikt nie mówił o tym że..., nie zdradzał tajemnicy, że Powstanie wybuchnie o piątej godzinie. Także myśmy tak się wybrali. Wybrali akurat na spacer i spędziliśmy w jakiejś bramie... Z tej bramy, w której zastało nas Powstanie, na Chmielnej, szliśmy z mamą i babcią na Okólnik i doszliśmy. Nic się nie stało i przeżyliśmy Powstanie. Co pamiętam z tego okresu... Prześcieradła się rwało na bandażu i zwijało, to z moich działań. No i ja robiłam surówki. To znaczy mój ojciec, wysyłając nas do Warszawy na to, nie wiedząc, że będzie Powstanie, ale zaopatrzył nas w wóz kapusty, kartofli i coś tam jeszcze. No i oczywiście, co tam było z takich krótkich rzeczy... Ale kapusty, kartofli było bardzo dużo, więc ja robiłam z kapusty, kartofli, robiłam surówki. Była sól, służąca piekła. Mąka, mąka przyjechała, piekła chleb, tak że mieliśmy chleb. Głodu nie mieliśmy. Mieszkała na Okólniku też Pani Sawicka, żona profesora, który uczył matematyki w Popnie, tam się zatrzymali na wojnę, i przebywała akurat w tym czasie, i pani Sawicka miała córkę. Jadzia była oczywiście w Powstaniu i przynosiła nam czasem jakieś... Były nie rzuty, ale zdobywali jakąś fabrykę, nie fabrykę. Przynosiła nam na przykład suszone kartofle, tak że mieliśmy suszone kartofle. Cukierki jakiś czas były też... Jadzia przeżyła wojnę, pani Sawicka przeżyła wojnę. Wszyscy przeżyliśmy wojnę. No przeważnie przebywaliśmy na pierwszym piętrze u rodziny Wilskich. Tam też Kiniewicz. Stołowała się pani Kiniewiczowa w wysokiej ciąży. Także tam jedliśmy obiady wspólnie. No a te surówki to raczej na górze, te kartoflane, kapuściane surówki, sałatki. Z siostrą kontakt był. No tak jak poczta powstańcza. Więc czasem nie wiem, czy docierały listy, czy nie, docierały informacje. Informacje jakieś docierały. O siostrze nic nie wiedziałam. Muszę się cofnąć, bo przed..., już po moim przyjeździe do Warszawy, na Powstanie moja siostra narciarskie buty pastowała i nie mogłam zrozumieć, dlaczego w upał, w ciepło, w lecie moja siostra narciarskie buty przygotowuje. No ale mi wytłumaczyli, że taki jest zwyczaj. Uwierzyłam w to. Ona była..., Jakież nosze wiem, że przynosiła. Nie pamiętam tych koleżanek, jak się nazywały, bo kiedyś pamiętałam, teraz nie pamiętam. No i Powstanie jakoś, jakoś, jakoś... Dzięki Bogu. Naprzeciwko była kaplica. Już dzisiaj nie ma. Koło schodów na Tamkę schodzących do do tej kaplicy codziennie chodziliśmy, chobabcia, mama i ja. No i to mnie trochę uratowało, bo jak dotarłam w końcu do Pruszkowa, do Dulagu [121], to mama miała złamaną rękę, ale to miała po prostu jeszcze w Popnie złamaną. I poszła prać bandaż, bo był strasznie brudny, przy jakiejś studni, takiej już na terenie Pruszkowa. No a dziecko sobie wzięło i poszło. Bo ja w ogóle szłam i sobie szłam. I sobie poszłam. Tylko że jak się odwróciłam i do mamy, to już zgubiłam się. Po prostu się w tym obozie zgubiłam. Dzisiaj się śmieję, ale to było straszne. To było przerażające. I jakaś pani: „Dziecko, czego płaczesz?” No więc mówię, że się zgubiłam. No i dopytała mnie. Wiedziała, pamiętała, że blok piąty był, No więc ona mnie wzięła, zaprowadziła do piątego bloku. Krzyczała cały czas idąc przez ten blok: „Sulikowska, Sulikowska!”. Aż się mama odezwała i mnie znalazła. Także tragedia się skończyła, ale dla mnie to była wtedy tragedia i szok absolutny. Nie pamiętam, żeby szła z nami siostra. Pamiętam, że, że wiem, że była, przechodziła przez Pruszków, ale wiem, że byłam też z mamą u lekarza na temat siostry, bo wróciła ze Starego Miasta zapowiedziana przez Henryka Wyganowskiego, kolegę też z AK. I chyba jakaś, jakaś rodzina bardzo daleka, bo jak się później kiedyś spotkali w Kaliszu, to się minęli i dał znać, żeby się nie przyznawała do niego. No bo to był taki okres. No ale co było dalej... Po tym, po kilku dniach tego Pruszkowa, posadzili, przenie-

śli nas, nie przenieśli, zapakowali nas do wagonów, takich zwierzęcych, i jechaliśmy do Oświęcimia. W jakimś momencie przejeżdżając przez Skierniewice czy przez, przezjakieś Kuluszki, bo to tamtędy się jechało, mama rzuciła kartkę, że jedziemy do Oświęcimia, i ta kartka dotarła. Więc tam w domu to już w ogóle się zrobiło straszne rzeczy, bo już wiadano o Oświęcimiu. Ale był nalot. Nie pamiętam jak to było. Wiem, że biegliliśmy gdzieś z tych wagonów, gdzie nas później złapano, i byliśmy nie w Otwocku, w Opocznie. Do Opoczna nas zawieźli. Tam w jakiejś szkole na słomie spędziliśmy... Nie wiem, czy to była noc jedna, czy to. Tego nie pamiętam. Co było dalej. Pamiętam, że nas pędzili i miałam na głowie beret. I ten beret mi zleciał z głowy i wobec tego było ha, ha, ha, bo tam Niemcy szli bokami i nas transportowano, ochraniali, i wielki śmiech był ha, ha, ha. Nałożyli cielęciu, cielęciu nałożyć ten beret na głowę. To pamiętam. Pamiętam żydowskie dzieci, które z nami nie wychodziły, ale mieszkały w tym domu, i to, to. Mama o tym wiedziała, ja nie wiedziałam, ale byli. Na tej słomie też leżeliśmy. No i pamiętam obiad w Opocznie, czyli nas, nas z tego Opoczna już puścili. W ogóle rozpędzili. Kazali sobie iść gdzie chcemy. I pamiętam obiad, że był kotlet mielony z mizerią. Ja tego do końca życia nie zapomnę, bo to była taka rewelacja, że my siedzimy przy stole, że mamy normalnie widelce i łyżki i można było normalnie się zachowywać jak człowiek, bo siedzieliśmy w tym schronie właściwie ostatni. Jak już padło Stare Miasto i Niemcy już się przenieśli do Śródmieścia, to siedzieliśmy cały czas już w schronie. I wtedy straszna tragedia się stała, bo przebili otwór, do..., był Okólnik 5 A i okólnik 5. U nas był 5 i 5 A był obok. I że tam jest taki pewny schron, żeby się tam przenieść, a myśmy zostali. Nie mogę o tym mówić... Nalot. Schron się cały zakołysał. Bomba poleciała w tamtą drugą, drugi budynek. Wszyscy zginęli. Nasz dom się palił, wyszliśmy przez okno do [sióstr] szarytek, na szczyt i do szarytek. No i tam po jakiejś półtorej godzinie, może, nie wiem, zresztą przyszli już Niemcy i zaczął się marsz do wyjścia przez, przez Wolę. No mogę o tym mówić. W Kuluszkach na jakiejś platformie byłam i jechaliśmy. Dokąd myśmy jechali? Nie wiem. Ale w każdym razie gdzieś, gdzieś koło Kuluszek. Nie pamiętam przyjazdu do Popnia. Potwornie się bałam samolotów. Jak latały, nie mogłam tego słuchać. No a potem, to już był, były właśnie te Wilkucickie [Wilkowskie] Pieńki przy wejściu Rosjan. Dom spustoszony. Zalewajkę się jadło, no ale było co jeść. No i kazali nam się wyprowadzić. Do 15-go. Do połowy marca wolno było zabrać tylko to, co najpotrzebniejsze. Z nami z Warszawy po Powstaniu przyjechali Koneccy. To była siostra mojego ojca i jej rodzina. I stąd udało nam się pewne rzeczy wywieźć jako ich własność. Stąd są portrety, portrety moich przodków. Generał Krukowiecki Jan, Aleksander Krukowiecki z Wolskich. Krukowiecka z dziećciem. Dziecię jest strasznie namalowane, ale..., ale, ale dziecko. No i przede wszystkim „pater familia”, czyli mój Karol Sulikowski. Kolej warszawsko-wiedeńska, jednocześnie właściciel Popnia. Więc ci Koneccy, właśnie dzięki nim mogliśmy różne rzeczy wywieźć. Było co jeść w Łodzi, bo pojechaliśmy do Łodzi. Tam mieliśmy wynajęte u Korneckich, wynajęte mieliśmy, użyczyli nam kilka pokoi i tam wszyscy byliśmy. Mnie wypytywali, dokąd jadę. Ja bardzo ładnie mówiłam, że jadę na Zachodnią. Na szczęście to nie był adres, także na jakiś czas zgubili nas, bo Łódź była za blisko. Wolno było się wyprowadzić 50 kilometrów od miejsca zamieszkania, czyli od Popnia, a Łódź była bliżej Łódź była 30 [km]. No i znaleźli nas. Ja chodziłam do szkoły, siostra pracowała. Ponieważ mojego ojca chcieli rozstrzelać w Popniu za współpracę z Niemcami. No więc ludność wiejska się ujęła i nie zabili ojca, ale się już ukrywał od tej pory. Także w Łodzi była babcia, mama, siostra i bracia, i ja, bo chodziłam do tej szkoły do trzeciej klasy. Nie wiem, czy to był miesiąc, dwa miesiące, no i i się skończyło, bo znaleźli nas, aresztowali, ponieważ w tym..., o NSZ, w NSZ-cie byli. Jeden brat był chory, leżał w łóżku, drugiemu... ostrzeżony przez kuzynkę Sulikowską z Dąbrowy. I siostrę też aresztowali. Ale nie przyznawali się i byli w więzieniu w Brzezinach. Brzeziny to było miasteczko niedaleko Rogowa i Jezowa i Bochnia. No i tam właśnie byliśmy. Tam. Rodzina była znana i była no, szanowana powiedzmy. Także pamię-

tam, że mama chodziła do tych Brzezin piechotą z Łodzi. No i prawdopodobnie wtedy zanosila tam biżuterię, żeby, żeby ich jakoś wykupić, bo chyba po dwóch tygodniach wyszli. Nie byli torturowani, nie byli. No w każdym razie nie trafili na ubeka jakiegoś podłego, który by się mścił na nich, tylko na kogoś, kto znał i dobrze oceniał rodzinę. W tym czasie myśmy wyjechali z Łodzi. Wyjechaliśmy z Łodzi do Kalisza. W Kaliszu była willa, którą mi zresztą teraz oddali cztery lata temu. Tylko że jej nie mam cały czas, więc... W Kaliszu był dom mojego chrzestnego ojca, a brata mojej matki. No i tam się zatrzymaliśmy. Babcia, mama, siostra no i jeden brat przed tym ostrzeżony już w ogóle z nami się nie kontaktował, drugi nie pamiętam. W każdym razie pamiętam, że ja im gotowałam i robiłam zakupy. Miałam 10 lat już. Chyba 9-10. Mama robiła ciastka, chodziłam na dworzec i sprzedawałam, ale to chyba jeden raz tylko było, a chłopcy, nie, Jurek i siostra Aleksandra robili kanapki i do pociągów zanosili, sprzedawali. Jak ludzie jechali, byli głodni, no to sprzedawali te kanapki. W międzyczasie moja matka, udało jej się załatwić na Ziemiach Odzyskanych, w Dzierżoniowie, gospodarstwo ponemieckie. Jeszcze Niemcy tam byli i tam mieszkali. Mnie oddano do internatu, do klasztoru, do urszulanek, bo co ze mną było robić? I byłam w Pokrzywnie, koło Poznania jedną klasę. Pod koniec roku zabrali prawa, tak że miałam nie dostać świadectwa i wobec tego wozili nas do szkoły..., duże lotnisko tam jest. Pobiedziska, nie Pobiedzisk. No wszystko jedno. W każdym razie do tej szkoły jakiejś, takiej wiejskiej wozili. W międzyczasie kazałam..., dostałam wiadomość, że mam jechać do Poznania, do Meissnerów zaprzyjaźnionych, i stamtąd do Więclawic. Więclawice to była firma Buszczyński i Synowie. Hodowla nasion. Rodzina mojej mamy. I ojciec tam był księgowym, buchalterem to się chyba nazywało wtedy. Ja w tym Kaliszu z babcią, mama na Dzierżoniowie. Ze szkoły uciekałam, bo już rok się zaczął. No i też pojechałam do tych Więclawic z babką. Także w tym Kaliszu byliśmy: marzec, kwiecień, maj, czerwiec. lipiec, 2-3 miesiące. No ale już jakieś były zarobki. Już ojciec zarabiał, mama tam już w tym gospodarstwie też, było co jeść. No bo to był ogród, chyba 5 hektarów chyba było. W Więclawicach było bardzo dobrze. Ojciec pracował. Babka była. Mieliliśmy Niemkę do sprzątnia. Do.., chyba do sprzątnia i gotowania. Tam, w tym Więclawicach był piękny dwór. Tam pracownicy przychodzili do stołówki i myśmy też tam jedli. Wszystko było. A ja chodziłam do wiejskiej szkoły w Szadłowicach. To było niedaleko. Było 4 kilometry. Chodziłam piechotą, oczywiście przez lotnisko. Pewno były niewybuchy, no ale jakoś przeżyliśmy. Przeżyłam i wszystkie dzieci chodziły. W Więclawicach była „Selekcja”, „Selekcja” to jest nazwa firmowa, bo oni zajmowali się nasionami, więc coś takiego było. No i tam też byli pracownicy, z którymi się spotykaliśmy. Jedni mieszkali w tym dworze co my, była jakaś dziewczynka. Wiem, że też się z nią bawiłam. I to był rok. Następnego roku mnie oddali do sióstr z powrotem, bo między innymi to się odwracałam i podnosiłam spódnicę z tyłu i wypinałam siedzenie. Więc stwierdzili, że nie mogę w takim towarzystwie dłużej przebywać, bo... No bo, bo. No i oddali mnie do Włocławka, do urszulanek, gdzie było bardzo mi niedobrze, prawdopodobnie wychowawczyni była psychopatką. Napisałam kartkę, na kartce do mamy: „Kiedy skończy się to psie życie?”. I pani, i siostra, ta wychowawczyni, zrobiła zebranie wszystkich tych wychowanek i opowiadała straszne rzeczy. „Że jest wśród was taka, której tutaj jest psie życie”. I tak dalej. No więc... Więc z tego Włocławka ja praktycznie uciekałam. Na Wielkanoc nie pozwolili mi wyjechać do tego Dzierżoniowa, żeby być na święta z rodziną. Wzięłam i uciekałam. I szczęśliwie, że uciekałam, bo ojciec wtedy zmarł, miał gruźlicę, i w Dzierżoniowie właściwie cały czas leżał, więc Więclawice się już skończyły. I zdążyłam na śmierć ojca. Z tym, że nie byłam przy śmierci, bo mama mnie wyrzuciła do pokoju drugiego. To był marzec. Od nowego roku byłam już w siódmej klasie i byłam we Wrocławiu u urszulanek. Tam było bardzo dobrze. I tam kończyłam siódmą klasę, chodząc do miasta. Chodziło nas trzy czy cztery. Z internatu do szkoły miejskiej, bo one miały gimnazjum, a nie miały szkoły powszechnej. Skończyłam siódmą klasę, później byłam w ósmej, dziewiątej, też byłam u urszulanek we Wrocławiu.

no i matura. Matura była w Kaliszu, czyli 10 i 11 klasę znów spędziłam w Kaliszu. Mieszkłam w pokoiku, takimniejszym od tego, przy biurze. Biuro było w środku. Ja miałam ten pokój z boku. Na górze mieszkała druga żona, nie, pierwsza żona wuja, który zginął w Oświęcimiu, ale wyszła za dyrektora tej firmy, Łuszczynskich, bo tam filia była i obiady jadłam na dworcu albo w jakiejś restauracji, w barze mlecznym. Chyba już były mleczne bary, bo pamiętam bułkę z żółtym serem. To chyba był bar mleczny. Do gotowania i grzania wody miałam kuchenkę elektryczną. Ciocia, żona mojego wuja nie zajmowała się mną. Tam były jakieś animozje, jakieś były problemy. Miała pretensje do nas, że myśmy..., Podobno na Okólniku była walizka ze srebrami jakimiś, i srebra..., i myśmy tego nie wzięli, i nie przynieśli. Ale to jedna z tych spraw. No nie wiem. W każdym razie pamiętam, że raz mnie kłapały chyba wszystkiego przez te dwa lata. No i raz byłam tam na górze, bo oni na górze mieszkali, a ja na dole przy tym biurze. Chyba byłam na jakimś takim spotkaniu młodzieżowym raz albo dwa razy. Raz w ogrodzie. Tam był ogród. Bardzo ładny ogród był koło tej willi. Zdałam maturę. Nie wiem jakim cudem. To była już szósta chyba szkoła czy siódma. A jeszcze dlaczego, dlaczego...? Jeszcze przepraszam, jeszcze muszę wrócić. Więc zaczął się rok szkolny. Gimnazjum im. Anny Jagiellonki. Poszłam do tego państwowego gimnazjum z tą..., chyba byłam już sama. Nie pamiętam, ale wyrzucili mnie z tej szkoły po dwóch tygodniach. Musiała być mama w międzyczasie, bo zażyczyli sobie od mamy życiorysu ojca. I mama w swojej naiwności napisała, że walczył w 1920 roku i stąd miał odznaczenia. I wyrzucili mnie z tej szkoły. Dzięki dobrym układom z rodziną żony mojego wuja, tego z Oświęcimia, co zginął, przyjęli mnie do nazaretanek. Już to w ciągu roku było, bo to rok się już zaczął. Wyrzucili mnie po dwóch tygodniach mniej więcej. Więc to już było połowa, druga połowa września, zanim się to wszystko załatwiło, czyli koniec września, znów następna szkoła, znów nowe środowisko, no i matura. Przed maturą zabierają prawa. To znaczy... Polegało to na tym, że nie, nieważne byłoby zaświadczenie z tej matury, gdybym nie zdawała przed tą obcą komisją. Komisja była z pięciu przedmiotów, była fizyka, matematyka, polski, historia. Coś jeszcze... Płotałam jak na mękach, bo pamiętam, że mówiłam, że miałam powstanie styczniowe i dekabrystów. Ja to połączyłam. A ten, który mnie przepytывał historyk, widocznie brzuch go bolał, ale coś mu było. W każdym razie nie zauważył tego, że ja takie bzdury plotę. Tak czy inaczej maturę zdałam i to z wynikiem dobrym. Czyli dwa lata siedziałam w Kaliszu tam sama i później wróciłam do Wrocławia, bo mama była z bratem młodszym, który już był po studiach i miał nakaz pracy na Dolnym Śląsku. No a ja chciałam być blisko mamy. Ojciec już nie żył. Jeszcze był Dzierżoniów. Jeszcze był Dzierżoniów, póki byli Niemcy. Później, jak już Niemcy wyjechali z Dzierżoniowa, to nie miał kto pracować. Pamiętam taki obrazek z mojego życia, że siedzę w sklepiku na dole, na dole, bo to był piętrowy dom. Na dole była taka lada na tej ladzie marchewki jakieś, szpinak i jakieś inne rzeczy. A ja czytałam „Rodzinę Połanieckich” i zdziwienie pewnych osób, że ja czytam książkę. To jest pierwsza rzecz, i jeszcze „Rodzinę Połanieckich”... No ale..., ale tak było. Pamiętam taki obrazek z Dzierżoniowa, wakacje prawdopodobnie były, no i sprzedawałam..., zamiast szpinaku policzyłam, zamiast szpinaku szczaw. Jedno było powiedzmy 10 złotych, a drugie było 20. No więc siostra mnie wtedy bardzo miała za złe, że takie rzeczy robię. Mama mnie oczywiście broniła. No a ja siedziałam i sprzedawałam warzywa. To była pierwsza praca w wieku lat..., no nie wiem, to już miałam chyba 14, 15, 16, bo jeszcze to było przed maturą. Na wakacjach. We Wrocławiu mieszkłam jakiś czas u urszulanek, bo mnie tam przygarnęły, a potem w wynajętym pokoju, i tam mieszkłam we Wrocławiu. Brat załatwił mi pracę w banku. Byłam referentem. Później awansowałam do starszego referenta. Dwa lata pracowałam w tym banku. Czytałam książki medyczne, no i starałam się na studia. Starałam się na studia. Raz nie przyjęta z braku miejsc we Wrocławiu, drugi raz nie przyjęta, zabrakło miejsc we Wrocławiu na stomatologię, i trzeci raz nie przyjęta z braku miejsc. Nie, trzeci raz chyba się już dostałam. Zostałam salową w Gdańsku. W Gdańsku

mój brat już nie miał nakazu pracy, a może jeszcze miał nakaz pracy, bo inaczej nie można. To był okres, kiedy nie można było zmieniać miejsc zamieszkania bez specjalnych jakichś pozwoleń, a on w tym Gdańsku wylądował i pracował w rzeźni, bo przedtem pracował w różnych przychodniach, lecznicach weterynaryjnych w Posadowie między innymi. On kochał konie i tam miał opiekę nad koniami. Konie miał pod opieką. Wszędzie tam jeździłam za mamą, bo mama jeździła za bratem, bo musiała z czegoś żyć, a mama miała już swoje lata, a poza tym domem się zajmować, za to płacą. Uczyła jeszcze w Dzierżoniowie, uczyła Żydówki polskiego języka. I z taką teczką chodziła, to pamiętam. Ale więcej nie pamiętam, żeby gdzieś pracowała. No i był w tym Posadowie, w Międzychodzie, w Międzylesiu, w Międzylesiu najpierw był, później był w Międzychodzie na końcu, ale przedtem był Gdańsk, więc w Gdańsku był Dębicki. Profesor Dębicki był z rodziny mojej mamy. Był profesorem chirurgii w klinice w Gdańsku i tam mnie zatrudnił. Raczej załatwił mi zatrudnienie na etacie salowej, w szpitalu, w klinice byłam sekretarką. Drugą sekretarką, bo ja nie umiałam na maszynie pisać. Mogłam tylko różne rzeczy załatwiać co to ręcznie się pisało. No i po tym rocznym pobycie na etacie salowej już miałam punkty i dostałam się na medycynę. Na drugim roku zaczęłam pracować. No bo z czegoś trzeba żyć. Moje rodzeństwo już było po studiach, pracowało, ale każdy się musiał utrzymywać i też musiał z czegoś żyć. Także mama trochę wymusiła na nich, żeby tam mi przysyłali. Zresztą jak byłam w Kaliszu to też przysyłali jakieś pieniądze, ale to było dosyć mało. Zaczęłam pracować w gazowni, w ambulatorium gazownianym jako pomoc lekarska. No bardzo mi to odpowiadało, bo różnych nazw się uczyłam i podchodzenia do chorego. I te lekarki były bardzo sympatyczne, które przyjmowały tam w gabinecie dwa razy w tygodniu czy trzy. Pracowałam od drugiej do dziesiątej wieczorem, no i przeważnie to się urywałam koło dziesiątej. Zwłaszcza zimą. To było trudne, bo było ciemno. Szło się troszeczkę, piechotą się szło. Mieszkałam na Ogarnej. No i pracowałam. Także wykłady, ćwiczenia, obiad w stołówce, w biegu, i później do pracy na drugą. Ale tam mi było dobrze, bo nie każdego dnia był lekarz i jak nie było lekarza, to sobie siedziałam. Mogłam się uczyć, ale głównie to się uczyłam po powrocie do domu, także musiałam coś przedtem zjeść. I praktycznie tak się nauczyłam, że się kładę spać do tej pory, koło godziny drugiej, pierwszej, bo uczyłam się wieczorami. Sesje miałam w lecie, bo przeważnie albo nie szłam na egzamin, albo oblewałam i poprawka dopiero była w wakacje. Po wakacjach, różnie. W każdym razie ja jakoś te studia skończyłam. To już w międzyczasie był październik. Mieszkałam na Ogarnej, ponieważ mój brat przeniósł się do lecznicy w Międzychodzie. I jak tam się przeniósł, to zostałam w tym mieszkaniu. Nie oddałam go, bo to było służbowe mieszkanie brata. Nie oddałam tego mieszkania. Udało mi się załatwić przydział. Oczywiście po znajomości. Także miałam pokój na parterze i wtedy były takie warunki, że ja potrafiłam wejść przez okno, bo zostawiałam okno otwarte, a nie wzięłam kluczy na przykład, czy jakiś czas temu były takie problemy. To się w głowie teraz nie mieści, że górne okna były otwarte cały czas i ja mogłam przez to okno wejść. Czyli złodziej mógł 5 razy wejść, ale nikt nie wchodził. Było inaczej. Inaczej było. To jedyna rzecz w komunie, która mi odpowiadała. To, że mniej się, mniej się na..., bezpieczniej było. I druga rzecz, to służba zdrowia była w lepszym stanie. W tej chwili jest koszmar. No ale to nie o to chodzi. Po studiach miałam nieudane małżeństwo, no i przeniósłam się do Warszawy. Udało mi się tam, dzięki doktorowi Bylinie, to był starszy pan, który mnie zatrudnił jako taką kurierkę. Nie na żadnym etacie. Bez żadnych pieniędzy. Tylko że miałam punkty z kolei, że mimo, że dostałam staż w Tczewie, nie musiałam jechać do jakichś Trąbek czy gdzie indziej na rubieżę. Tczew – to jednak był pociąg dosyć szybki, dojeżdżałam do tego Tczewa. Miałam stypendium ufundowane. W gazowni pracowałam już, chyba już nie pracowałam w gazowni, no i tam staż był na czterech oddziałach: pediatria, chirurgia, interna i ginekologia. Bardzo mi było tam dobrze. Tam nauczyłam się pić piwo, bo dojeżdżaliśmy..., dojeżdżało nas chyba 4 czy 5 osób, do tego Tczewa, żeby nie stać w drodze. Je-

chaliśmy. To były te wagony restauracyjne. Zajmowaliśmy stolik, braliśmy ze dwie butelki, żeby było na pięć osób, mniej więcej sześć, żeby miejsca były zajęte, no i piliśmy piwo. Na szczęście nie uzależniłam się. Nie muszę. Po Tczewie, ponieważ miałam stypendium fundowane z sanepidu, musiałam pracować w sanepidzie i rok pracowałam w sanepidzie. I co tam było? Co tam było, to nie wiem, ale w każdym razie byłam na inspekcji w zakładach mięsnych. Jak zobaczyłam robaki i w ogóle brud straszny, zamknęłam jako sanepid, lekarz w sanepidzie, a nie naczelny, na szczęście. Zamknęłam. Nie zaarrestowali mnie, ale w każdym razie miałam już przechłapano. Skończył się staż, pojechałam. Już byłam w Warszawie. Doktor Bylina załatwił mi staż w Sochaczewie i ten staż w Sochaczewie odbyłam też. Też było dobrze. No ale skończył się i trzeba było myśleć o pracy. Znow doktor Bylina to był... Zresztą tutaj muszę, muszę to powiedzieć, bo to jest niesamowite. W życiu spotkałam dwóch mężczyzn, starszych, ale jak przychodziłam tam do doktora Byliny, byliśmy odebrać jakieś papiery czy do przeniesienia, czy coś do podpisania: „Pani Hanko, jakże się cieszę, że pani przyszła...”. Starszy pan. I drugi tutaj już później, po Solidarności, był pan Piskorski. To było już po Solidarności. Pracowałam już wtedy w szpitalu. No to do tego dojdę. Ale też drugi mężczyzna, który: „Pani doktor...” przepraszam, jeszcze był ksiądz, „...Pani doktor przyszła. To cud się stało, że pani doktor przyszła”. Ale to całe życie, Osiemdziesiąt kilka lat. Trzech takich mężczyzn było. Ale to nie były związki jakieś uczuciowe, tylko po prostu to byli, tacy byli wtedy ludzie jeszcze. Dobrze. skończyłam staż, zaczęłam pracować właśnie dzięki doktorowi Bylinie też w przychodni rejonowej, gdzie oczywiście mnie zatrudnili na wszystkie popołudnia. W soboty, nie miałam żadnej wolnej soboty, bo czasem można było przed południem też pracować. Było przedpołudnia i popołudnia. No ale pani kierownik mi powiedziała: „No po co pani będzie się uczyła coś tego? Jakies staże, jakies coś?” tak było. No i, no i musiałam to załatwić. Jakoś musiałam te staże do specjalizacji załatwić sobie. Pani dyrektor, nie powiem nazwiska... „No wie pani, pani dyrektor, staż atestacyjny jest bardzo mi potrzebny. Ja mam mało, no..., mam..., muszę się jeszcze nauczyć”. A asystent atestacyjny, do specjalizacji to było. 6 tygodni chyba> Taki urlop sześciotygodniowy i wszystkie działy takie podstawowe medycyny z nami przerabiali w Centrum Kształcenia Podyplomowego. I mówię: „Pani dyrektor, ja proszę o bardzo, o to, bo naprawdę jest mi to potrzebne, bo inaczej nie zdam tej specjalizacji... Doktor ta i ta przecież były na tych stażach, i ta: „A to jest co innego, a jest co innego”, bo ja jestem Królikowska, a to jest co innego. Moja ordynator przejściowa, bo jak zaczęłam się uczyć już do specjalizacji w przychodni na Saskiej, pracowałam w poradni kardiologicznej, to pani ordynator dostała mnie do pomocy, bo wtedy był okres „znamy się tylko z widzenia”, korytarze były pełne, i pani ordynator to była, zresztą była, później się dowiedziałam, bo wtedy nie wiedziałam, ale też w AK, i ona mi pomogła napisać o siostrze. Taki reportaż jest w książce. Ale wracając do moich nauk. Pani ordynator załatwiła mnie z tą dyrektorką i byłam na tym stażu atestacyjnym. Pierwszy stopień zdawałam [w szpitalu]] na Grenadierów, drugi stopień zdawałam, gdzie zdawałam drugi stopień? Uch! na Grenadierów też. No i... była Solidarność. Więc oczywiście byłam w Solidarności. Byłam. Jeszcze na Saskiej. Doszło do tego później stan wojenny, że widziałam, że ludzie się boją ze mną rozmawiać, bo byłam aktywna. W stanie wojennym tak samo. No i usiłowałam zmienić pracę i udało mi się. Udało mi się przez koleżankę starszą wiedzącą, do której kierowałam pacjentów na konsultację, kardiolożki. I ona mówi: „Pani, pani by nie chciała?”. Chciałabym, chciała. No i stąd się znalazłam na Brzeskiej, w szpitalu kolejowym, gdzie było bardzo dobrze. Przede wszystkim dyrektor wiedział o nas i nie wyciągał z tego żadnych złych wniosków, konsekwencji. I tam poznałam, w rentgenie pracowała dr Janiszewska. Dr Janiszewska była przewodniczącą podziemnej Solidarności naszej. I zaproponowała, czy ja bym nie chciała do nich dołączyć, że oni... Że ich jest grupa pewna. No i na Żoliborzu, dr Janiszewska mieszkała na Żoliborzu, na Żoliborzu jest taki ksiądz Jerzy. Ale to nie było jeszcze od razu, na początku wzmianka o księdzu

Jerzym, tylko jeszcze pracowałam na Saskiej i wtedy przyszły do mnie. Miałam dobre układy z tymi dziewczynami z..., nie z rejestracji, ale z rentgena, z laboratorium. No w każdym razie przyszła do mnie, przyniosła mi chyba różanec i powiedziała, że mają takie msze. No ale to jakoś jakoś specjalnie się tym nie zainteresowałam. Dopiero jakaś doktor Janiszewska mnie zaprosiła do grona, to się zgodziłam, byłam, i wtedy już zajmując się lekami, byłam na Żoliborzu. Tam był punkt taki, gdzie pracowały panie. Była Wolska, Wolska była. No nieważne. Pojechałam tam po mleko dla dziecka, po jakieś leki. Przyjechałam. To było zamknięte. Więc stoję taka bezradna pod tymi drzwiami i myślę, co robić, że muszę, muszę to jakoś załatwić. Tylko jak? I w drzwiach plebanii stoi, staje jakiś człowiek w garniturze. Dopiero później zobaczyłam, że ma koloratkę: „No co, jak mogę pani pomóc?”. Coś w tym rodzaju zwrócił się do mnie. „No ale muszę mieć leki, muszę mieć mleczko, muszę mieć coś tam”. „To ja zaraz pani pomogę”. Pierwszy raz mnie widzi. Mówię: „To ksiądz jest może ksiądz Jerzy?” – „Tak, jestem”. Aha, no i wziął mnie na górę. Wtedy akurat to był taki miesiąc, gdzie była mapa Polski i te ośrodki, wszystkie internowania, tam były wyszczególnione. Pokazał mi. to. Rozmawialiśmy chyba godzinę. Nie wiem. Dał mi to mleczko. Na pewno mi coś dał, bo coś tam, coś tam zabrałam i coś załatwiłam. No i od tej pory, jak ja poznałam już księdza Jerzego i doktor Janiszewska poprzednio zaproponowała. Powiedziałam: „Basiu, no oczywiście nie ma sprawy. Wiem już kto, wiem co”. No i od tej pory już tkwię. Nawet wyrzucana z kościoła, ale też nie powiem przez kogo i dlaczego, bo to nie o to chodzi. No i przyłgnęłam już do księdza Jerzego i byłam w służbie księdza Jerzego. Było nas około 30. Nie wiem czy... Mam dokumenty różne mam książki, mam wywiady. Ksiądz Jerzy dał mi się zbadać chyba ani razu. Badałam innych ludzi w jego mieszkaniu. Ale on się nie dał. Basia mnie ściągła kilka razy, a raz to pamiętam dokładnie, że przyjechałam, bo naprawdę był chory i naprawdę pomóc mu... Powinnam go posłuchać, płuc... Powiedział, że nie zawracać głowy. No posiedziałam, pogadałam i poszłam. Ale co ksiądz Jerzy, przede wszystkim co miał. Zaczęłam chodzić na te msze popołudniowe o czwartej po południu, w niedzielę. W drugiej niedziele miesiąca, i na pierwszej takiej mszy to w ogóle zaczynało się: „Panie, przebacz nam. Panie, zapomnij nam”. Przez całe dotychczasowe życie poprzednie nie spotkałam się z czymś takim ani w Kościele, ani, ani, ani nigdzie, ani u tych urszulanek..., przecież tyle lat przebywałam. To było niesamowite. Kolega Wojtek Bąkowski służył do mszy i pamiętam też, że jeszcze było wiele serc, które czekają na Ewangelię i to na każdej z tych mszy się powtarzało. I ksiądz Jerzy mówił jakąś homilię. Nie pamiętam żadnej. Nie pamiętam żadnej homilii tam, w tym, pod kościołem, w tej kaplicy, pod kościołem. Natomiast pamiętam, że jak zaczęłam chodzić na mszę za Ojczyznę, To było coś nadzwyczajnego. Sam głos księdza. Sam ten jego spokój jakiś, jakiś, jakiś, to było... Tego się nie da opowiedzieć. Tego się nie da... To trzeba przeżyć.